

Nienawiść. Opium elit, opium ludu

15 czerwca 2016

Kiedyś uważałem, że mocne frazy „Modlitwy Polaka” z „Dnia Świra” to więcej niż przesada: „Gdy wieczorne zgasną zorze, / Zanim głowę do snu złożę, / Modlitwę moją zanoszę / Bogu Ojcu i Synowi: / Dopierdolcie sąsiadowi! / Dla siebie o nic nie wnoszę, / Tylko mu dosrajcie, proszę”. Dziś myślę, że właściwie to standardowy pakiet codziennie obserwowanych w przestrzeni publicznej życzeń „wszystkiego najgorszego”, choć oczywiście występujący także w wersjach dla agnostyków i ateistów. Interesowna i bezinteresowna nienawiść nie mają względu na światopoglądowe różnice. Są jak nowe opium elit i opium ludu sfrustrowanego porażkami (i sukcesami!) transformacji.

Największym odkryciem w dobie 1050. rocznicy chrztu Polski są dla mnie niezgłębione pokłady rodzimej nienawiści wobec słabszych, wobec tych, którzy gorzej się mają oraz tych, którzy, stojąc na zdecydowanie słabszych pozycjach, próbują bronić swoich praw i swojego dobrego imienia. Wyobrażam sobie, że po przeczytaniu tego zdania tu i ówdzie słychać jęk rozczarowania albo wściekłości: Wołodźko zamierza uprawiać antypolską i antykatolicką propagandę. Ale nie jest moją winą, że raport o stanie tutejszych ludowych i elitarnych umysłów da się skonfrontować z akurat taką rocznicą. Niewykorzystaną zresztą jak dotąd niemal zupełnie przez szeroko rozumianą lewicę chrześcijańską do refleksji nad jej własnym, bogatym przecież dziedzictwem. A jeżeli dziś narzekamy na coraz bardziej szowinistyczno-zabobonny i wsobno-bogobojny-na-bogato charakter polskiego katolicyzmu, to jest on taki również dlatego, że właściwie nie ma żadnej konkurencji. Nie ma następców księdza Jana Ziei – w kwestiach społecznych ton w polskim Kościele nadaje ksiądz Jacek Stryczek. A on, jak

wiadomo, jedną ręką daje biednym, nie szczędząc im przy tym przygan i połajañ, drugą zaś szerokim gestem zaprasza do ich wyzyskiwania, choćby głośząc dobrą nowinę o dobrodziejstwach uśmieciovienia stosunków pracy. W ten sposób zawsze ma i dobrodziejów, i petentów. I spore brawa od publiki. Choć, zaiste, fascynująca to sytuacja, gdy ksiądz ma ubogich za wilki w owczej skórze. Czy może za roszczeniowe hieny.

Wróćmy do nienawiści. Z konieczności skupię się na dwóch jej odsłonach. Pierwsza z nich to nienawiść elit do niedorastających do „pewnych standardów” Polek i Polaków z klasy ludowej. Dlaczego niższe warstwy społeczeństwa (czyli właściwie solidna jego część) nie dostają do tych wzorców? Przyczyn jest wiele – a wszystkie arcyobiektywne. Zaczniemy od tego, że rzadko kto z „przaśnych” Polek i Polaków pochodzi z domów z dużym lub bardzo dużym kapitałem ekonomicznym i społecznym. Rzadko kto z nich ma rodziców – rektorów ważnych uczelni, prominentnych polityków, zasobnych biznesmenów, mamusie, które z zawodu są prezeskami spółek państwowych. Mało kto z nich wykłada na stołecznej uczelni, bywa w stołecznych mediach, ma znajomych wśród stołecznych artystów, polityków, naukowców, wysokich urzędników, osób kluczowych w wielkim biznesie itp.

Ogólnie w Polsce, co wywołuje irytację elit, całkiem sporo ludzi to prowincjonalne chamstwo, które tak śmiesznie człapie w drodze po coraz bardziej wątpliwy, choć zdecydowanie kosztowny awans społeczny. Spójrzmy na te plebejskie rodziny, które płacą słono za prywatne uczelnie swoich dzieci. Przecież to jest tragikomiczny widok, gdy pomyśleć, że to kasa wylana jak krew w piach – często uciulana z nadgodzin, emerytur babek, dorywczej roboty, braku snu, niedostatków prywatnego życia. Dodajmy do tego sfrustrowane zerknięcia na lepszy byt, jaki wiodą dzieci lekarzy, adwokatów, lokalnych sitwiarzy. Wyobrażam sobie, że dla osób o zawsze czystych i wypielęgowanych rękach, które brudzą je sobie ewentualnie dla relaksu i przyjemności w podmiejskim ogrodzie czy warsztacie,

to musi naprawdę oznaczać heroizm cnót – życie pod jednym niebem z taką ciemnotą jak Matki Polki Wózkowe. „Wózkowe” to kobiety, które ponoć „sprzedały naszą wolność” Kaczyńskiemu za 500 zł miesięcznie – podążamy za wiekopomną myślą profesora Zbigniewa Mikołejki wypowiedzianą w radio TOK FM. Naprawdę, ile można wytrzymać z takimi „wózkowymi” w jednym kraju bez poczucia irytacji? Trzecia dekada najlepszej z możliwych Rzeczypospolitej przed nami, a szerokie masy wciąż nie dorosły do demokracji przedstawicielskiej. I źle wybierają.

To kwestia smaku, jak powiadał poeta. Człowiek o pewnej pozycji życiowej i statusie społecznym nie może przestawać z tak groźną dla demokracji i wolności hołotą. Tym bardziej, że Polskę klasy B/C naprawdę zamieszkują Polako-orkowie. Czasem wystarczy zrobić kilka kroków w bok od ekskluzywnie wyglądającej ulicy i już nas to dopada. Im niżej, im dalej w głąb, tym „zdziwniej i zdziwniej”. Tam żyją mroczni ludzie zaludniający ciemne miejsca, po których nie kursują regularnie – rozświetlając mroki prząsnej polskości – wozy transmisyjne telewizji. Tam żyją osobnicy prości i podobno konserwatywni (połowa po rozwodach), którym z tej racji od zawsze współczuć nie wolno – wedle przekonania pewnej wielkomiejskiej feministki. Tacy jak oni nienawidzą demokracji i smarkają w palce. W dodatku słuchają disco polo i obnoszą się po swoich plebejskich małych ojczyznach z włosami wystającymi z uszu. To są ludzie z miejscowości, w których jest jeden kościół, jedna knajpa, jedna lokalna zblatowana elitka – a brak poczty, ośrodka zdrowia i komunikacji publicznej dorzucono im gratis na fali zwycięskiej transformacji.

Brzydka Polska à la „faszyn from Raszyn” nienawidzi demokracji i z brudnej pięści chciałaby pewnie dać w ryj osobnikom w marynarkach z zamszowymi łatami na łokciach. To jest Polska „Edków”, których również boi się prof. Mikołejko. Choć trochę na wyrost są profesorskie lęki, gdyż „Edek” dać w ryj raczej nie może, bo zasadniczo siedzi u siebie na gumnie, pilnując, czy starczy na miesięczny bilet na busa, w którym kierowca

robi, co może z trzema wymiarami, żeby upchnąć jeszcze więcej taniej siły roboczej. Poza tym znam ze swoich stron rodzinnych kilku takich „Edków”, prostych facetów po zawodówkach: wyłączają swoim dzieciom internet, żeby siadły nad książkami, albo dbają o to, żeby rozwijały umiejętności sportowe lub angażowały się w życie parafialne – niekiedy jedyną ostoję społeczeństwa obywatelskiego w okolicy.

No, ale co się dziwić profesorowi Mikołejce. Nie zapominajmy, że wspomniane wyżej Matki Polki Wózkowe dają córkom na imię Dżesika, chodzą w dresach i kiepskich makijażach, szybko robią im się zmarszczki pod oczami od kłopotów okołorodzinnych. A ich matki to chytre baby z Radomia, które pakują do reklamówek jedzenie rozdawane za darmo. To zupełnie co innego niż w przypadku naukowców, publicystów, artystów i trzeciosektorowców łapczywie żrących z porcelany duże darmowe porcje na stołecznych imprezach dla ViP-ów. A wolność tych kobiet kończy się niekiedy tam, gdzie uderza pięść pana domu. Ale o tym cicho sza z innych względów – nie psujemy dobrego samopoczucia prawicy, która tak bardzo wierzy w dobry prosty polski lud, że skutecznie tamuje debatę o patologiach społecznych naszej współczesności. W każdym razie: to wszystko nie są dobrze wyglądający ludzie.

Co będziemy dużo mówić? To naprawdę inny stan polakocześnictwa: dlatego nie można na przykład wsiąść z ludem do komunikacji publicznej, bo „oni tam śmierdzą”. To zdaje się jeden z silniejszych argumentów przeciw komunikacji publicznej, wyrażony przez pewnego prawicowego publicystę i podchwycony przez liberalno-prawidłnych samochodziarzy wyklętych. A przecież nie należy zaniedbywać nauki o pięknie – że znów zacytuję poetę. I z tej troski segregacyjne procesy ekonomiczno-kulturowe idą u nas pełną parą. Parafazując Borowskiego: jedni są brudni i za grosze żyją naprawdę. Drudzy są estetyczni i dyskutują o tych pierwszych na niby.

Jak widać, wąska kasta beneficjentów transformacji, pełniąca na ogół obowiązki elity, ma bardzo racjonalne przesłanki do

nienawiści. To przesłanki inteligencko-klasowo-biograficzne. Jak już wspomniałem, prof. Mikołejko nienawidzi „Edków”, którzy głosują na Prawo i Sprawiedliwość: chamy chcą mu zabrać jego wolność. Ale jak właściwie przedstawia się wolność „Edków” w III Rzeczypospolitej? To stołecznego reprezentanta klasy paplającej (określenie ukuł naczelny „Nowego Obywatela”) nie musi interesować, ponieważ demokracja po polsku polega zasadniczo na tym, że lud ma siedzieć cicho i nie rezonować, ewentualnie wyrażać aprobatę dla kolejnych reform, które zmieniły sferę usług i zabezpieczeń publicznych w całkiem nieprzyjemny burdel. Lud ma też milcząco akceptować zwijanie państwa na prowincji i cieszyć się z faktu, że może się tanio ubrać w lumpeksach. Swoją drogą to niezbadany temat: przecież bez lumpeksów nie tak mała część Polaków miałaby problemy z zaopatrywaniem się w nawet relatywnie tanich sieciówkach odzieżowych! Naród z gołą dupą – epickie ukazanie stanu rzeczy. Lud może kupić używany samochód, żeby w ogóle wydostać się ze swojej miejscowości i racjonalnie planować czas zawodowy i prywatny. Lud może też najeść się jako tako dzięki dwuznacznym dobrodziejstwom przemysłowo produkowanej żywności (jak ja nie cierpię wielkomiejskich przeżuwaczy kiełków, protekcjonalnie/pogardliwie odnoszących się do tych zwykłych ludzi, którzy „nie prowadzą ekologicznego i zdrowego trybu życia”). Polka i Polak, którzy dziwnym trafem nie są profesorem Mikołejką, mogą też legalnie zwać stąd za granicę, co dla klasy ludowej jest chyba największą zdobyczą polskiej wolności po 1989 roku.

Po drugiej stronie mamy ludową nienawiść do wszystkiego, co odbiega od coraz bardziej prawidłowych standardów myślenia o rzeczywistości. Niektórzy uważają, że to okołokatolicka przywara, ale w rzeczywistości na tym zasadzają się najstarsze atawizmy świata ludzi i zwierząt – dziobie się najsłabszego i/lub tego, który najprawdopodobniej nigdy nam nie odda, a jeśli spróbuje, to runie powalony jednym ciosem. Zatem dzielni zwykli Polki i Polacy nienawidzą – raczej myślą, choć czasem uda się czynem – tych, którzy żadnej krzywdy im nie robią,

ponieważ na ogół ich tutaj w ogóle nie ma.

Rzecz jasna, specyficznie realizowany katolicyzm i „patriotyzm” bardzo się przydają jako sztandary. A są przecież księża prałaci i infułaci, którzy z ambony wskażą owieczkom, na czyj widok zamienić się w bestie. I przypomną, żeśmy jak husarze gromiący pohańca. Tymczasem, jeżeli wierzyć nie tak odosobnionym opowieściom, Polki i Polacy w początkach transformacji jeśli bywali w Wiedniu, to wcale nie po to, żeby zwiedzać miejsca triumfu Jana III Sobieskiego, ale po to, żeby prostytutką wszelaką zarabiać na byt. Być może jest to jakiś głęboko ukryty i przeniesiony wstyd, może to jest jakieś wyjaśnienie neosarmatyzmu jako fałszywej świadomości: my, postchłopi, my postchłopki wcale a wcale nie jeździliśmy do Wiednia, żeby sprzedawać ciała majątnym cudzoziemcom i cudzoziemkom – my zawsze ratujemy Europę; wcale a wcale nie jesteśmy tymi, którzy służą bogatszemu światu otworami ciała i fizyczną pracą rąk, nóg, korpusów. No, ale jak ma zapytać wprost młody Polak swoich rodziców, co robili w 1990 roku w Wiedniu czy Berlinie? I jak się z tym czuli? I co z tego mieli? To już lepiej włożyć arcypolski tiszert. Czy to, co piszę jest antypolskie? Niekoniecznie – jest boleśnie polskie w tym, co schowane po ciemnych kątach i czego nie wolno mówić ani piewcom transformacji, ani kruchciano-narodowym moralizatorom.

Na marginesie: w tym roku mniej już słychać o uchodźcach. Może dlatego dowiaduję się od prostego polskiego ludu, podpisanego imieniem i nazwiskiem, że Cyganie przeżerają pieniądze z 500+. Pocziwy rasizm zwykłych ludzi, którzy nie muszą się ze wstrętem do słabszych i innych chować przy kuchennym stole – ponieważ już wolno być ksenofobem publicznie.

Czasem rodzima nienawiść zależy od tego, kto akurat rządzi. Jeżeli na przykład w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie protestują pielęgniarki, to wiadomo, że „szmatami” nazwie je szczyry przeciwnik „Półszewików”, który przez ostatnie osiem lat płakał i współczuł każdej grupie zawodowej mającej na

pieńku z rządami Platformy. Ale mamy jeszcze całą masę tych nienawiści, które łączą elity i klasę ludową. Na przykład wielkomiejski reprezentant klasy średniej i młody kasjer w „Biedronce”, mieszkaniowiec pozbawionego dawno temu przemysłu miasteczka w Wielkopolsce, wspólnie mogą nienawidzić rolników – którzy żądają państwowej interwencji; mogą też razem nienawidzić nauczycieli broniących Karty Praw Nauczyciela, albo roszczeniowych górników. Oczywiście, ten z wielkiego miasta raczej będzie głosował na Petru, ponieważ regularnie czyta liberalne tygodniki, a drugi na Kukiza/Korwina, bo lubi jak się w internetach „orze lewaka”. Ale nienawiść mają wspólną.

Między tymi dwoma nienawiściami, nienawiścią elit i nienawiścią ludową, występuje dość czytelny konflikt. Wy nienawidzicie nas bardziej – syczą opiniotwórcze głowy do tysiąc-gębnego ludu. To wy nas nienawidzicie mocniej – warczy gniewny lud, odziany w patriotyczne skarpety i gacie, w narodowe tiszerty i tożsamościowe krótkie spodenki.

Może to jest dobra metafora tej nieporadnej współczesnej ludowej polskości: patriotyzm w krótkich spodenkach, komiksowo hardy, radykalny i bez zmiłuj wobec uchodźców, Cyganów, ciapatych, lewaków, feministek i kto tam jeszcze podpada pod antypolskość w szerokim kanonie współczesnych fobii – ale z czapką w dłoni i na kolanach wobec szefa w pracy albo lidera partyjnego, od którego się zależy, albo faceta, który przyznaje granty. I co zostało z pokolenia JP II, skoro w ojczyźnie Jana Pawła II zarówno silni, jak i słabi są aż do wymiotów ugrzecznieni wobec silniejszych, wpływowych i bogatych? Poza tym obowiązują reguły, które, w odpowiednich dla różnych warstw społecznych odsłonach, wymuszają bezpardonową walkę o trochę lepsze miejsce na ciasnych schodach do góry. A tylko nieliczni stoją przy drzwiach do windy, pilnowanej przez wykidajłów.

Wróćmy na koniec do okołochrześcijańskiego wątku. Coraz bardziej przekonuję się, że to nie tzw. katolewica jest w

większości winna społecznym słabościom rodzimego chrześcijaństwa. W gruncie rzeczy wszystkie te okołokatolewiczne środowiska – od „Kontaktu”, przez „Więź” i „Znak”, do „Tygodnika Powszechnego” – niewiele mają do powiedzenia poza dość wąskimi gronami swoich odbiorców. Problemem jest to, że to wysoka kościelna hierarchia, zainteresowana np. pilnowaniem statusu majątkowego instytucji kościelnych i wąsko pojętej etyki okółorozporkowej nigdy skutecznie nie zadbała o to, żeby w życiu publicznym III Rzeczypospolitej było mniej darwinizmu i bardzo mało zrobiła, żeby pomóc ocalić dla Polaków państwo na prowincji. Za to owszem – zblatowani z prawicą i nie tak rzadko postkomunistyczną lewicą wysocy hierarchowie kościoła starali się bardzo nie naruszyć status quo III RP, ponieważ również byli i są jego beneficjentami. Stąd nie bardzo przeszkadza im logika, wedle której bogaci stają się coraz bogatsi, a biedniejszym pozostaje strach, bylejakosć sypiącego się państwa, niestabilne życie w antyspołeczeństwie i liczne frustracje przemienione w nienawiść dla obcych.

Kto na tym wygrywa? Wszyscy, którzy na różne sposoby mogą żyć z taniej polskiej siły roboczej, w tym politycy. Kto przegrywa? Jakiś przypadkiem pobity cudzoziemiec, zbyt śniady jak na lokalne standardy. No i polscy nienawistnicy, zwykle ci z klasy ludowej – szerokie rzesze ludzi, wciąż niezdolni przeciwstawić się tym, którzy naprawdę robią im krzywdę.

Autorstwo: Krzysztof Wołodźko

Źródło: NowyObywatel.pl